Arthur Rimbaud: LE BATEAU IVRE / STATEK PIJANY (tł. Ela Binswanger)

Arthur Rimbaud: STATEK PIJANY

Gdy opuściłem wreszcie nieprzyjazne rzeki,
Wnet już nie czułem się we władzy holowników:
Na cel czerwonoskórzy wzięli ich zaciekli
I nagich przywiązali do słupów wśród krzyków.

Nic mnie nie obchodziły losy załóg wszystkich,
Zbóż flamandzkich nośnika, w angielskiej bawełnie.
Gdy ucichły już za mną ich wrzaski i piski,
Prowadziły mnie rzeki do ujścia, bezbłędnie.

Wśród skłębionych odmętów, pluszczących przypływów,
Ja, zeszłej zimy jeszcze, głupi i dziecinny,
Ach, jak ja gnałem! Zgiełku triumfalniejszych zrywów
Nie zaznały te brzegi, mój podbój dziękczynny.

Sztorm mi pobłogosławił, na wilka pasował,
Niż korek lżejszy nagle, tańczyłem na falach.
Wir, co w ludzkich ofiarach odwiecznie gustował,
Mną dziesięć nocy kręcił, nikły światła z dala!

Słodszy niźli dla dzieci smak kradzionych jabłek,
Solonej wody szmaragd zmył kadłub jodłowy,
Spłukując kwas po winie, rzygowin ślad, snadnie,
Plącząc haki i liny, takoż ster był z głowy.

I odtąd się kąpałem w morskim poemacie,
Przetykanym gwiazdami lazurowym niebie,
Pochłaniającym zieleń, jak cytat w cytacie,
Zachwycającym sennie, topiącym sam siebie.

Gdy nagle, kłócąc błękit, bo w pijanym zwidzie,
I rytmy spowolniałe w pełnym świetle dziennym,
Silniejsza niż alkohol, w delirycznym zgryzie,
Odbija się zła miłość, gorycz, pąs płomienny!

Znam niebo pełne błysków i trąby powietrzne,
Znam morze wieczorami, prądów kłębowiska,
Blade świty, jak stado gołębi na wietrze,
Widziałem to, co człowiek chętny widzieć z bliska.

Widziałem niskie słońce, pełne plam mistycznych,
Rozświetlające długie, sinawe przymrozki,
Jak aktorzy w tragediach pradawnych, antycznych,
Zaklinający grozę w popisach gwiazdorskich.

Śniłem zieloność nocy, ślepnąc w dzień od śniegów,
Pocałunek powoli spływa z mórz na oczy,
Co to za soki krążą od brzegów do brzegów,
Żółte, błękitne światło wstaje, niebem kroczy.

Śledziłem miesiącami jak małe muszelki
Histerycznie wraz z falą rafy atakują,
Nie sądząc, że świetliste stopy Panny Świętej
Powolność oceanów pchną, interweniując.

Trafiłem na, uwierzcie, niezwykłe Florydy,
Pomieszanie tam kwiatów z oczami pantery
Z urodą skór u mężczyzn! Przedziwne hybrydy.
A tęcze rozciągnięte w strony świata cztery.

Widziałem wielkie bagna jak wrzą, fermentują,
W sieciach wśród nich, gdzieś w trzcinach, cały gnił Lewiatan!
Wodospady, co raptem w ciszy wytryskują,
Katarakty przepastne, głębokie jak Tartar.

Lodowce, srebrne słońca i perliste fale,
Odrażające monstra, nieba rozżarzone!
Gdzie gigantyczne węże żrą wielkie robale,
Poskręcane konary cuchną jak zwęglone!

Chciałbym pokazać dzieciom te złote dorady,
Niebieskich fal królowe, śpiewające ryby.
Kwietne piany znaczyły mych podróży ślady,
Niewyrażalne wiatry brały mnie w swe tryby.

Czasem, gdy, jak męczennik, opadłem bez siły,
Morze, cicho szlochając, sprawiało, żem wstawał,
Słało ku mnie przyssawki, co mnie unosiły,
Na co ja, jak kobieta, na kolanam padał.

Dla ptactwa byłem wyspą, przysiadały rojno,
Zanieczyszczały pokład, miały jasne oczy,
Ptasie spory nierzadko kończyły się wojną,
Czasem świeży topielec pod mą burtę zboczył.

A ja, łódź gubiona przez porosty, sole,
Miotana orkanami, szkodami za szkodą,

Nawet z pomocą Hanse ani Monitore
Nie wyłowiłoby się, mnie, pijanej wodą.

Ja, statek otulony fiołkowymi mgłami,
Wolny, płomienne niebo przebijałem sobą,
Przez wybitnych poetów sławiony wersami,
Z lazurami pod kilem, w słońcu srebrną głową.

Iskrzący się nocami od światła księżyca,
Niczym senne marzenie, szaleniec drewniany,
W dzień się zamorskim niebem palącym nasyca,
Chmarą koników morskich wciąż eskortowany.

Ja, który drżąc ze strachu, na mile słyszałem
Behemoty ryczące i wściekłe Malsztromy,
Wieczny tułacz odmętów, bezruchu wzywałem,
Tęskniąc za Europą, gdzie tkwią stare domy!

Miriady mgławic gwiezdnych, wysp archipelagi,
Nieboskłon, cudna magia, znajoma żeglarza:
- Gdy śpisz w bezdenne noce, i śnisz dzikie blagi,
Miliony złotych ptaków - fantazja malarza? -

Lecz to prawda, ja płaczę! Świt łamie mi serce,
Księżyc boleśnie zdradza, nie cieszą mnie zorze:
Gorycz w miejsce miłości, jak na twardej derce,
Niech mi grobem się stanie obojętne morze.

Jeżeli jakiej wody w Europie pragnę,
To nie głębiny zimnej, lecz płytkiej kałuży,
Gdzie papierowa łódka jak motylek wtargnie,
Bo do zabawy dziecku, gdy jest smutne, służy.

Nie chcę już pruć przez fale, moknąc w nich bezradnie,
Ni wspominać tragarzy bawełnianych bali,
Nie dla mnie dumne flagi, łopoczą bezładnie,
Tęsknota mnie wykańcza, brak oparcia pali.

(tł. Ela Binswanger)

*

Oryginał i tłumaczenie Zenona Przesmyckiego "Miriama" (tł. w przypisie 3)

Tłumaczenie Macieja Chrabkiewicza (przypis 4)